Lwów, 4. Stycznia. №2. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Rycіny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za nastęр. po 1 ½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

atrzyłem się tak na ów dwór, żem żebraka który przedemną drapiąc się po łysinie nie zobaczył, z razu.

... co mój kochany, twój Majorko ? spytałem.

Ot.. licho wie po co, proszę pana, powlókł się do ...zyniec za jezioro...

— Trzeba było posłać po niego.

— Konie na paszy, Judel pobiegł po siwą klacz na ...u łóg, tam ją *se jak toj kazau* okiełzna i pojedzie.

— A daleko to ? spytałem.

— Ot widać kościołek za jeziorem, rzekł ręką wskazu... ale na około jadąc, będzie półtorejmili.. tylko że Ju...sprawny i siwa dobrego ma kłusa....

— Czółnem by może prędzej było ?

— Czółno wziął Iwan mielniczek, bo ja to już o...n myślałem, odparł dziad; — pojechał zastawiać więcierze a drugiego niema..

Posmutniałem na tę wieść, spojrzałem w słońce które się pochylało w stronę zachodu, obrachowałem półtorej mili Judela, powrót z Serebrzyniec, naprawę osi i ze wszystkiego mi wypadło, że w tej wiosce nocować będę musiał.. Karczma była ogromna, ale gdy przyszło ją obejrzyć zbliska, nie znalazłem w niej ani kątka w którym bym się mógł przespać, wszystkie izdebki były pozajmowane, jedna kartofel resztkami, druga przędziwem, trzecia smołą, czwarta żydowskiemi rupieciami.

— A dwór to czyj ? spytałem żebraka.

— Dwór ? powtórzył trochę zmieszany — tu niema dworu....

— No, a cóż to tam widać pod olszyną ?

— Był to dwór, ale to pustka .. mruknął stary, machając ręką.

— Możeby tam znalazła się izdebka, tamże przecie ktoś mieszkać musi ?...

— Ale nikt nie mieszka.... ino ja czasem zajrzę, westchnął dziad — a potem, gdzieby to pan tam chciał nocować·

— Dla czego ? spytałem zaciekawiony.

— Albo to pan niewie że to Krasne ?

— Ja tu obcy i nic a nic niewiem..

— Bo też niema co wiedzieć — odparł żebrak, ruszając ramionami ; w stajni panu siana pościelę i tam się pan przespi.

Nieudało mu się wszakże zbyć mnie tak lekko, jak mu się zdawało. Konie nadeszły, Majorka ani słychać, ja uzbroiwszy się w cierpliwość, napoiwszy nowego znajomego, wydawszy stosowne dyspozycje służącemu, wyszedłem za karczmę na przechadzkę. Stary ów przybłęda już mnie nieodstępował, bawiąc wesoło pogadanką, która wcale przypadała mi do smaku. Dowiedziałem się już z niej był, że Paweł Zużel (tak się nazywał) rodem był z okolicy szlacheckiej, nieopodał od Krasnego; że służył dawniej w tym dworze który teraz stał pustką, i że od lat kilkanastu wyszedł na żebraczkę, więcej z pobożności niż z potrzeby..

Domyślałem się jakiejś ciekawej historyi o tym pustym dworze i skierowałem ciągnąc ku niemu starego Pawła. Ale jak tylko mnie zobaczył zwracającego się w tę stronę, stanął i zawołał:

— A po co to pan tamtędy ? *jak toj kazau.*

— Pójdę do dworu —

— I dałbyś pan pokój, niema tam nic ciekawego... droga zarosła... pustka, i po wszystkiem.. po co? i po co ?

—Właśniem dla tego ciekawy, że mnie waść od niego odstręczasz, odparłem otwarcie — cóż u licha, czy mnie myślisz strachami durzyć ?

— Jakiemi strachami, rzekł nieukontentowany żebrak. Wszak ja tam sam nocuję... ale co ciekawego pustka ?

Tak mówiąc szliśmy powoli, a Paweł tabakę zażywał i nosem kręcił i usiłował jeszcze zawrócić mnie ku jezioru, do kościółka, byle bym nieszedł do tego zakazanego dworu ; oczewiście, że mnie to na przekór podbudziło, zarosłą drogą dotrzeć do miejsca.

Nic przekrzejszego nad nie wyobrazić sobie nie można. Ruina ta nie była jeszcze tak starą by poważna się stała, ani znów tak świeżą, by jeszcze dźwignąć ją była nadzieja. Krzewy, chwasty, pokrzywy, trawy, pokrywały rozgrodzony dziedziniec ; budynki waliły się wszystkie. Sam dwór trzymał się tylko jeszcze, ale drzwi główne płotem zasunięte, już się były wypaczyły ze ścianą, która groziła upadkiem...... Nigdzie śladu mieszkania, nigdzie znaku dozoru i pieczy... Poza dworem był stary, zdziczały ogród, dzikiemi malinami w pas zarosły ; a że prze-

zeć ścieżka jakaś prowadziła, z dziedzińca, poszedłem nią zamyślony.

O kilkanaście kroków wśród gąszczy, osłonioną lipami i świerkami, ujrzałem szarą, ale porządnie utrzymaną kapliczkę, której drzwi stały zamknięte. Tu widać było rękę ludzką i staranie. Paweł który szedł za mną, mrucząc niezrozumiale, zbliżył się, gdy mnie aż tu docierającego zobaczył, nic nie mówiąc dobył klucza i drzwi nim otworzył. Weszliśmy w milczeniu do wiejskiego tego kościółka, bardzo starannie utrzymywanego, ale na wstępie uderzył mnie widok całkiem niespodziewany. Na samym środku, na czterech cegiełkach, stała prosta, sosnowa trumna, nadzwyczaj wielka i długa. Paweł przodem wszedłszy, szybko pokląkł i począł się modlić, ja też odkryłem głowę i schyliłem czoło, oka nie mogąc oderwać od tej tajemniczej trumny. Z pozoru jej widać było że nie dziś tu postawioną została, drzewo bowiem przybrało tę barwę szarą, martwą, którą się po latach dopiero okrywa, i znaki czarne, narysowane na wieku, spełzły tak, że ledwie ich dostrzedz było można

Kapliczka wcale na smętarzową nie przeznaczona, wśród ogrodu, z tą trumną olbrzymią obok spusztoszonego dworu, domyślać się kazała tajemniczej jakiejś historji. To też gdy po chwili modlitwy powstał żebrak i wyszliśmy z nim oba, znów ścieszką wracając ku domowi, począłem go naglić pytaniami, aby mi wytłumaczył co widziałem.

Wzdrygał się długo i opierał, wymawiał, alem go nareszcie skłonił do wyspowiadania mi historyi, którą tu w niczem nic zmieniając powtórzę.

Lat temu kilkadziesiąt, w Krasnem mieszkał Samuel Hawnul, przybyły zkądś od Wilna aż, który wieś tę nabył od spadkobierców Kraśniańskich, rodziny wygasłej zupełnie, a od wieków tu niegdyś zamieszkałej. Posiadała ona Serebrzyńce, Krasne, Obody, Smolne i przysiołek Żabie, co razem ogromną zajmowało przestrzeń ziemi, jakie parę tysięcy włók z okładem; ale stopniami ubożejąc i wyprzedając się Krasniańscy, zostali przy Serebrzyńcach tylko i Krasnem, potem i Serebrzyńce sprzedali, aż wraz z majętnością przyszło i rodzinie wygasnąć. Na wiosce tej ostatniej zostalo długów dosyć, fundacyi pobożnych kilka, dożywociów i ponadawanyh gruntów, spadła zaś na kilkanaście głów, tak że podzielić się nie było podobna. Ale że interesa trzeba mieć było z wielu, a Krasne już z lepszego obrane zostało i pokrajane nadaniami, o kupca nie było łatwo. Tymczasem administracje do reszty je wyniszczały, a dziedzice byliby i tanio zbyli swe prawa, gdyby się kto tylko nadarzył. Już się to utrapienie wlekło lat kilka, gdy Samuel Hawnul zjawił się w tamtej okolicy. Nikt go tam nieznał ani wiedział z kąd przybył, on sam z pod Wilna się opowiedział. Był to mężczyzna niezmiernego wzrostu, olbrzym, szeroki w plecach, barczysty, karczysty, silny jak wół, z miną zawiesistą, z wąsem czarnym za ucho zachodzącym, przystojny, czarnoki, rumiany, ale ponury i straszny, nie tyle postawą i siłą, ile wyrazem oczów i ust, jakby tlejącego gniewu pełnych.

Bóg wie co go takim uczyniło, ale nikt się z panem Samuelem zmierzyć okiem w oko, ani na słowa, ani na rękę niemógł. Z oczów mu buchało gdyby ogniem, z ust potokiem się lały wyrazy, byle go podrażniono, a szabl w dłoni byłaby pewnie po staremu woła na wpół prze bała. Przyjechał najprzód do miasteczka, gdzie się w podzie roztaszował, niby do sądu coś mając, bez dw jednym człowiekiem, którego zaraz nazajutrz kędyś odp i przysiadł, robiąc znajomości z palestrą. Z ludźmi był dy chciał choć do rany przyłożyć i umiał ich sobie p jak nikt, rzekłbyś baranek taki potulny, taki uśmie ale niechże się mu kto choć lekko sprzeciwil, u wszedł, spojrzał, a krzyknął., a o szablę dłonią br najśmielsi bledli jak trusie. Tylko że w początk humor się nie wydawał wcale, póki się jeszcze roz wał, dowiadywał i wąchał. Szukał on niby nie dokumentów jakichś do podniesienia spadku po Huńc czach, gdyż się miał z Huńcewiczównej rodzić; a okoł tego powoli chodził, i uważano że się o majątek rozpytywał, a nareszcie otwarcie przyznał się, że mu się ok podobala i radby tu sobie osiąść, gdyby się tak co tra o Naówczas pan Zyrmuński, adwokat który trzymał inter dziedziców Krasnego, naraił mu ten majątek. Pojechali grunt, pan Samuel obejrzał role po gospodarsku, map rozpatrzył, inwentarze pokonnotował, tranzakcje stare nadania nowe spenetrował, i jakoś namyśliwszy się, pocz o Krasne traktować, Tamtym nieborakom tego było i trzeba, położyli łapki i zdali mu się, że ich wziął jak sam chciał, zbywając tysiączkiem jednym, drugim, skryptem, procentem i t. p. Tylko pana Zyrmuńskiego podobno dobrze podsmarował, bo prawdę powiedziawszy, cała rzecz w jego była rękach. Nikt do tego niewiedział jak się tam z sobą zgodzili, ale zaraz i przedugodne punkta podpisane zostały pod wielką zaręką i Hawnul zadatek wyliczył, a postanowiwszy ekonoma ze swojej ręki, właśnie Pawła Zużla, sam kędyś pojechał.

Nie było go widać blisko pół roku, ani słychu o nim, już trochę się niespokoić poczynano, gdy jednego wieczora w dziedzieniec dworu zajechały dwie bryki i z pierwszej wyskoczył, co go i po nocy po wzroście poznać było łatwo, pan Samuel. Tuż za nim wysadzono z bryki kobietę, choć nie wspominał o tem wprzód, żeby miał być żonaty, widać żonę Jegomości, bardzo śliczną, młodą jeszcze i powolną a delikatną.

Uderzyło to pana Pawła, że gdy nazajutrz przybyłych ludzi chciał dopytywać o swego nowego pana, już ich o świcie nie znalazł, bo wszyscy nocą poodjeżdżali, a dwie sługi co koło jejmości zostały, tyle wiedziały co i insi; je-

dną przyjął Hawnul na drodze w Słoninie, drugą wywiózł z Wilna.

Hawnulowie rozgościli się na nowem swojem dziedzictwie po cichusieńku, pan Samuel wziął się do prawa naprzód, aby o nabycie ukończyć, potem żywo bardzo do gospodarki; ona zaś sama czy to chora, czy niezdatna do tego, ani się ruszyła do kobiecego w domu zarządu. Mało nawet widywano ją, bo cały czas prawie w swojej izbie zamknięta siedziała, a w sąsiedztwa nigdzie nie jeździli oboje.

Tak się to poczęło w Krasnem, gdy Paweł Zużel, pierwszy raz własne na kłapciu ziemi porzuciwszy gospodarstwo, poszedł w ekonomską służbę do pana Samuela.

Pan mu się mimo chmurnej krwi dosyć jakoś podobał, bo miał i dobre przystępy fantazyi, a choć czasem gdy się pogniewał, człeka zdaje się by rozdarł, bywały nań i lepsze godziny, w których szczodrze to wynagradzał. To tylko jak powiadał zawadzało panu Pawłowi zawsze, że czy zły czy łaskaw pan Samuel, nigdy się nie rozśmiał, nie pożartował, nie pobaraszkował, i choć zdaje się nic mu do szczęścia nie brakowało, bo i dostatek był i zdrowie i żonę miał potulną a wielce ukochaną przez siebie, przecież jakby tam mu kto szczęście kołkiem zabił, nie znać było po nim, żeby go doświadczał.

Kupiwszy Krasne jak się wyżej powiedziało rozmaitemi umowami ze spadkobiercami, powypłacawszy niektórym z nich, innych kontentując procentem, przybysz już całkiem się zajął urządzeniem majętności, i rozpoczął życie, które się niczem nie różniło od pospolitego szlacheckiego. Przecież tkwiła w niem jakby tajemnica jakaś, bo pan Hawnul od świata stronił, z bracią szlachtą żyć nie chciał i stosunków unikał, w życiu publicznem żadnego udziału mieć nie żądał, w domu nie przyjmował i sam prawie nie wyjeżdżał, chyba do kościoła w niedzielę, jejmość zaś w wielkie święta tylko i to zakwefiona, że jej twarzy z początku nie widywano. W domu nie było jednak wcale skąpo, owszem dostatnio raczej, sprzęt piękny, grosza dosyć, na potrzeby, życie wygodne ale zaparte i smętne. Trafiło się li że szlachcic do Krasnego zawędrował dla sprawy, interesu, lub z przypadku czy z ciekawości, sam jegomość wychodził tylko i krótko go zbywał, a jejmość zawsze powiadono słabą i nigdy się obcym nie ukazywała.

Uważał pan Paweł że nowy dziedzic choć pilno koło gospodarki chodził i miał ochotę się krzątać, ale obeznany z nią nie był tylko ogólnie jak u nas niemal każdy; owszem bąki strzelał w dyspozycyach takie, że czasem Zużlowi gdyby nie respekt, rozśmiać by się zachciało; sama też ani się wmieszała do kobiecych rzeczy, zdawszy wszystko na klucznicę: motki, kury, płótno i ogrody.

Całe dnie czasami pan Samuel spędzał w osobnym pokoiku z żoną na rozmowie i jakichś namysłach, naradach cz krotochwili, której dwór zrozumieć nie mógł; słyszano tylko na przemiany z izdebki do której wchodzić bez zapukania nikomu nie było wolno, to głos żywy pana Samuela, to żałosny lub cichy i powolny głos żony jego; Bóg wie o czem gadali ale się nagadać nie mogli. Dostrzeżono w początkach zaraz i tego że byle zaturkotało w dziedzińcu, zrywał się niespokojnie Hawnul i biegł do okna, jakby przelękniony każdym przybywającym. Wszystko to razem wzięte jak zrazu uderzało i naprowadzało na dziwaczne domysły, tak po chwili stawszy się chlebem powszednim, przestało zwracać uwagę.

Sąsiedzi tylko skarżyli się na dziedzica Krasnego, że im nie dopisywał, bo pociechy z niego nie mieli żadnej, najgorzej zaś pan Stefan Wilczura. Ten mieszkał w Serebrzyńcach, był wdowcem od lat dziesięciu a że ludzi, towarzystwo, wesołość i hulankę lubił, i spodziewał się z przybyciem Hawnula pozyskać *nomine et re* sąsiada, bardzo się krzywił, gdy z nim znajomości nawet do pół roku nie zabrał.

(C. d. n.)

Pamięci trzech wieszczów:

Niemcewicza, Słowackiego i Szopena.

Oj zakukały trzy zazuleńki w gaiku,
Oj posmutniały trzy śrebrne gwiazdki w strumyku,
Oj poszumiała brzezina biała, wisząca,
Oj zapłakała kraina cała cierpiąca.

Oj zazuleńki czemuście takie żałosne?
Las się rozwija, słoneczko ciepłe na wiosnę.
Oj śrebrne gwiazdki czemu was chmura okrywa?
Czysta krynica w cichej dolinie przepływa.
Oj białe brzozy coście tak smutno zagrały?
Wietrzyk przewiewa, na niebie świta dzień biały.
Oj czego płaczesz kraino moja kochana?
I tobie wschodzi zorza światłości rumiana.

Zazule kują po ciemnym lesie żałośnie,
Bo na mogiłach gęślarzy lasów mech rośnie.
Gwiazdy na wodzie śrebro siejące pobladły
Oj bo trzy gwiazdy w cienie wieczności zapadły.
Powiały brzozy rozgłośnym jękiem boleści,
Bo im zachodni wietrzyk podmuchnał złe wieści.
Ojczyzna łzami wybladłe lice zrosiła,
Bo trzech śpiewaków, trzech wiernych synów straciła.

Pierwszy z pierwszymi naszymi braćmi wędrował,
I śpiewał pieśni i za morzami wojował.
Drugi z drugimi szukał u ludów ludzkości,
Śpiewał boleśnie, umarł daleko z tęskności.
Trzeciemu kiedy nieszczęście ludu zadźwiękło,
Porzucił struny, westchnął i serce mu pękło.

Oj wy hetmani w złocistych zbrojach i w stali,
Kto was rycerze za święte wojny pochwali?
Kto wam zaśpiewa taką podniosłą pieśń z duszy?.....
Chyba wiatr kiedy trzciny jeziora poruszy.

Oj wy na piaskach w równem powiślu Mazury,
Jaki to teraz smug mazowiecki ponury!
Słoneczko grzeje — nas tylko jakoś nie grzeje,
I świat się śmieje a nam się jakoś nie śmieje,
Pomarli wieszcze co ślicznie grali dla ludzi,
Któż dziś nam dziatwę do wesołości pobudzi?—
Oj polakowi co pocieszenia rad szuka,
Smutna kukułka w zielonym gaju zakuka.

T. Lenartowicz.

JEDNODNIÓWKI.

(Ciąg dalszy)

Owoż jednodniówki te są rodzajem muszek, wylęgających się pod promieniem słońca wschodzącego, a umierających z zachodem. Krótkie ich życie wystarcza im za rozkosze i bóle wieku matuzalowego, bo muszki te przechodząc w zmniejszonym rozmiarze koleje losów świata, siwieją z ostatnim słońca promieniem, a pierwsze światło gwiazdy wieczornej oświeca już trupy. Mimo tak krótkich chwil bólu i użycia, przecież nikt nie słyszał ich skargi i narzekania, i owszem używając w tak krótkim czasie pełną piersią rozkoszy im przyzwolonych, nie miały nawet czasu aby wykrzyknąć, jak człowiek niewdzięczny, długością życia znudzony. *O vanitas vanitatum et omnia sunt vana!* Jedyną ich życia negacyą jest natrętność i cichy brzęk chwilowego niezadowolenia.

Jednodniówka nigdy się nie nudzi, bo niezna jutra, ani wczoraj. Szczęście jest to chwila krótkotrwała, mówi filozof, to też jednodniówka jest w całem znaczeniu tego słowa szczęśliwą. Pierwszy jej brzęk jest pieśnią radości, a jeśli czasem dotknie ją jaka niemiła przygoda, to brzęknie tylko głośniej, bo za mało ma czasu, aby nad nieszczęściem swojem rozmyślać, jak to czynią hypochondrzyści i schorzałej fantazyi ludzie. Cała bowiem tajemnica szczęścia na ziemi zależy na tem, aby go długo nie używać, długo o niem nie myśleć i nigdy go krytycznym rozmysłem nie rozbierać. Nie tylko szczęście, ale i każda ziemska potęga, a nawet i sławiony ów rozum ludzki nie lubią dłuższego rozbioru. I najgenialniejsza myśl wyzionie ducha pod nożycami złośliwej i upornej krytyki, a cóż dopiero to nikczemne *fata morgana*, jakiem jest szczęście na ziemi!

Otóż pod pewnym względem zazdrościćby należało owym muszkom jednodniowym, które nie znają ani przesytu, ani rozczarowania, ani zawodu, ani nawet owego cierpkiego owocu życia — myśli, któremi w swoim bezrozumie tak nieprzyzwoicie chełpi się *homo mixtura!* Żywot bezsilny, to roskosz rajska, a jeźli pierwszy człowiek w. dem swego stwórcy został malkontentem, to jużciż przez co innego, tylko przez tę głupią kombinacyą alfabetu i obrazków z natury zdjętych, co razem „myślami“ nazywamy.

Ale jeżli już koniecznie taki los wypadł na człowieka że myślić musi, a myślić na to, aby poznał swój bezrozum, nieudolność, biedę i nieszczęście swoje, to jużciż myślić potrzeba, gdyby nawet ta operacya tak samo boleśnie odbywać się miała, jakto nie jeden z nas przy początkowem udzielaniu tej sztuki myślenia w szkole był doświadczył. Bo odkąd sztuka myślenia konwencyonalną stała się potrzebą, to przecież nikt niezrazi się pierwszą boleścią zaszczepiania jej w umysły młodociane, jak również nie zraża nas krzyk dziecięcia przy szczepieniu ospy.

Wprowadzona raz w społeczność ludzką potrzeba myślenia zrobiła z ludzi pewną olbrzymią machinę, której kółka poruszać się muszą według jednej i tej samej reguły. Jeźli jedno z kółek tej powszechnej reguły nie usłucha, sprawia w maszynie zamieszanie, która poczyna skrzypieć i psuć się, jak młockarnia, jeźli na bęben wpakuje się jaki kamień uporny. A ileż to kamieni takich bez ziarna i pożytku zawadza w maszynie naszego społeczeństwa! Ileż to między nami jest bezmyślnych jednodniówek.

Są to najczęściej ludzie dobrego serca i dobrej woli, ale do wykonania czegoś dobrego brak im zawsze czasu, a to z powodu, że myśli ich nie wiążą się nigdy w łańcuch pewnej dążności do wytkniętego celu, ale pokrajane i stargane na kawałki, stanowią kupę introligatorskich odcinków.

Pochodzi to ztąd, że żywot owych ludzi dzieli się na drobniutkie przedziałki, z których każda zamykając w sobie dzieje dnia jednego, jest oraz zupełną, zaokrągloną całością, nie mającą ogniwa do dnia wczorajszego, ani haczka do ujęcia przyszłości.

Zastanowiwszy się nad istotą podobnych ludzi, a wychodząc z założonej powyżej zasady, że w człowieku znachodzą się skupione właściwości innych żyjątek, mimowolnie uderza nas podobieństwo ich do muszek *jednodniówek*, których przeznaczeniem jest w przeciągu jednego dnia urodzić się, żyć i umierać.

Owoż zdaje się, że w organizm tych ludzi jednodniowych przeważnie weszła istota muszek jednodniowych, dla tego też ich *jednodniówkami* nazwiemy.

Bardzo wiele znajduje się takich jednodniówek w społeczeństwie naszem. Jest to rodzima nasza choroba, jak chorobą Azyi jest cholera. A jak niektórzy z lekarzy powstanie cholery przypisują niewidzialnym dla oka muszkom cholerycznym, tak samo i my będziemy się starać wytłumaczyć istotę ludzi-jednodniówek z wpływu insektów jednodniowych.

Płaszczyzny nadwiślańskie wydawały od dawna, jeszcze

od czasów bajecznych dwunastu wojewodów, mnóstwo robactwa i owadu, a niebyłoby to wcale dziwną, gdyby przyzwyczajona do podobnych tworów natura, zapragnęła swojej recepty i na ludziach doświadczać. Zkąd jednak w zdrową, podkarpacką krainę ta ingredyencya spółeczeństwa naszego zawitała, na to odpowiedzieć jest tak trudno, jak trudno jest dowieść owym jednodniówkom, że są jednodniówkami. Zdaje się jednak, że już atmosfera nasza mieści w sobie te nasiona owadowe, które połykamy, osobliwie w chwili, gdy nie myśląc o niczem, z rozdziawioną chodzimy gębą.

Jestto szkaradna, brzydka choroba, a cały nasz żywot społeczny jest nią napiętnowany. Człowiek-jednodniówka nieumiera wprawdzie z zachodem słońca, jak muszka gdy jej zabraknie ożywiającego ją słonecznego atomu, ale zamyka oczy i spi smacznie, bez żadnej myśli na przyszłość, bez wspomnienia przeszłości. Spi on snem śmierci, a obudziwszy się rano zastaje swój umysł czysty, jak „tabula rasa,“ który zupełnie nowe przybiera wrażenia. Z końcem dnia kładzie punkt wielki całej swojej pracy duchowej, a w pierwszym śnie wieczora ulatują wszelkie te zapiski z odmłodniającej się codziennie tablicy ducha, jak kiepski karmin z twarzy malowanej na płótnie.

Życie takiego człowieka jest to wielka książka bez kompaturek i bez tytułu, możesz ją przewrócić jak chcesz, otworzyć gdzie chcesz i czytać jak chcesz, a zawsze trafisz dobrze, obaczysz małe przedziałki i rozdziałki; ale spojenia artystycznego, ale jednej konsekwentnie przeprowadzonej myśli, jednego stale przebijącego się uczucia nie znajdziesz nigdy! Będą to zapiski i konotatki, krótkie, lapidarne — będzie to kronika ułamkowa, gdzie niegdzie z kartą wydartą, w którym to czasie autor z wielkiego afektu w gościnie przy winie zmysły postradał, ale niedoczytasz się w niej ani najmniejszego zdarzenia, któreby mogło ci dać wątek do najlichszej powieści.

Człowiek-jednodniówka ma wprawdzie afekt do przeszłości, ale to uczucie jest więcej instynktem, czyli wibracyą, w jaką wprawia go ruch otaczającej go zewsząd machiny społeczeńskiej. Jeżeli są jakie nitki, wiążące go do wspomnień przeszłości, to na to tylko, aby zwróciwszy jego twarz ku pomnikom, niedały mu widzieć rysujących się w dali obrazów przyszłości. Nie wiele jednak chwil z dnia swego życia poświęca on podobnym medytacyom, bo jego przeznaczenie jest, żyć wrażeniem czasu jednodniowego, być odradzającą się codziennie — jednodniówką!

Człowiek-jednodniówka jest przyczyną wielkich nieszczęść w kole swojej rodziny. W życiu domowem podzieli on wszystko na te same drobne przedziałki, z jakich składa się cała jego istota. Nie myśląc o jutrze, nie wiążąc swego życia w pewne pasma dążności i celów, które jako ojciec rodziny zawsze mieć powinien, nie widzi on grożącego jego domowi niebezpieczeństwa, a w przededniu tegoż upadku, gra swobodnie preferansa z gośćmi, którzy właśnie przed godziną do niego byli zawitali. Zbudzony rano nieszczęściem domowem, płacze i rozpacza dzień cały, nie mając żadnego wspomnienia z minionej wczorajszej zabawy, ale i żadnej myśli na jutro, a z nią i żadnej nadziei. Trafi się jutro jakiś *deus ex machina*, i bankruta z upadku podźwignie, człowiek-jednodniówka zapala sobie i przybyłym preferansistom z taką swobodą cygaro lub lulkę, jakoby paroxyzm jego majątkowy był najprawdziwszą *spazmą modną*, a nawet jakoby wcale nie był się odbył! W braku zaś nadprzyrodzonego ratunku, zakłada on spokojnie ręce, i patrzy na trzeszczące i walące się gruzy swego mienia — przez dzień cały! A jeźli w całym tym dniu o czem myślał, to pewnie o tem, jakimby sposobem można z gruzów swego majątku tyle ocalić, aby przeżyć — dzień jeden!

Człowiek-jednodniówka zniesie z łatwością każde nieszczęście, bo jak dzień każdy stanowi u niego nowe tło życia, tak też i samo nieszczęście stanie się w krótce właściwym jemu żywiołem. Nie tęskniąc nigdy za dniem ubiegłym, nie wplatając go do wieńca swoich niezapominajek, nie ma on wspomnienia straconego szczęścia, a zatem niema i myśli porównawczej, która jedynie rodzi żal lub zachwycenie. Do wszystkiego się zastósować potrafi, bo nigdy nic nie porównywa, i nigdy nawet nie wie, czy mu jest gorzej, lub czy mu kiedy było lepiej.

W stosunkach atoli towarzyskich jest taki *homo-muscula* wyborną postacią. Przybiera on w okamgnieniu na siebie szatę towarzystwa, w którem się znajduje, a zaledwie ujrzano go wchodzącego niskiej kondycyi poczwarką, już mu w lot odrosły jasno-szkliste skrzydełka, któremi podlatując do góry, urąga się pełzącym mozolnie gąsienicom. Każde koło społeczeństwa ma w nim wybornego figuranta, a nawet go polubić może, jeżeli się go nie zapyta o jego — wczoraj. W takim razie odpowiada on zazwyczaj, że przy wieczerzy zapomina co jadł na obiad.

Nie tak szczęśliwie jednak idzie mu w zawodzie publicznym. Sprawy publiczne są częstokroć tego rodzaju, że dokonane fakta lub zamierzone, potrzebują pewnej perspektywy miejsca i czasu, pewnej biegłości wzroku i wyższości umysłu, aby ich donośność ocenić, aby je dojrzeć w ich skutkach pomyślnych i uwieńczonych. Są to czasem operacye bolesne na chwilę, a przynoszące w przyszłości zdrowie i stokrotny pożytek. Częstokroć wymaga najwyższa i wszystkim droga idea państwa pewnego cząstkowego poświęcenia się, w interesie dalekich, okiem pospolitego wzroku niedojrzanych, narodowych korzyści. Jakimże sposobem podobne wymagania czasu i społeczeństwa pojmie człowiek jednodniówka, którego wzrok nie sięga za widnokrąg dnia jednego. Oczywiście że w tym jednym dniu nie ujrzy ani skutków tej lub owej przedsięwziętej reformy, nie potrafi zbadać przyczyny nowo wydanej ustawy, a co większa, że

nie uzna nigdy słuszności w tem, co się nie w jednym dniu poczęło, i nie w jednym się zakończy.

Świeża, żadną dawniejszą ani nowszą myślą nie obciążona krew jego, czyni go drażliwym i niespokojnym a przy takiem jego usposobieniu nie będzie dziwną, jeżeli go ujrzemy w wiecznej istniejącego porządku opozycyi.

Światła, z otwartą źrenicą w dalsze czasy sięgająca opozycya narodowa, ograniczająca się na jasnem i wszechstronnem wyświeceniu kroków rządowych, może wprawdzie stać się samemu rządowi nader użyteczną, jeźli opiera się na wynikłościach historyi i rozsądku, na porównaniu tego co się stało, z tem co jest, lub co dopiero w odległej przyszłości wyniknąć może. Ale czyż może co z rozsądkiem porównywać człowiek-jednodniówka, który do porównywania ze swego „wczoraj“ żadnej miary nie wyniósł?

Rządy kraju, wykonywane z największą przezornością, i rozmysłem, z wzrokiem wytężonym w przyszłość i tamże pomyślności narodów, lub grożącej im burzy dociekającym — trafne, na donośność stuletnią wyrachowane ustawy, lub ze zogólnienia interesów całego narodu pochodzące, ośmiela się spotwarzać człowiek-jednodniówka jako usiłowania nieprawe, niedorzeczne, bez celu i bez sumienia. Staje on się wówczas gorliwym, jednodniowym apostołem rewolucyi, demagogii, demokratyzmu na szerokim piedestalu, ale nie zna biedny, że missya jego apostolstwa, gdyby go puszczono samopas, skończyłaby się na jednym dniu. Przebudził by się niezawodnie lojalnym poddanym, gdyby się przebudził we własnym swoim pokoju; ale człowiek-jednodniówka przebudza się najczęściej — w kozie.

Przebudziwszy się, podziwia dziwaczny wypadek losu, i niedowierza nawet własnym zmysłom. Pyta siebie na pół głośno, czy to sen czy to jawa, bo przeżywszy dzień wczorajszy, przeżył i siebie i wszystkie swoje dogmata reformatorskie. Zapomniawszy o wczorajszem apostolstwie swojem, nie wie, jakim sposobem mógł się dostać do kozy, lub jakim sposobem mógł podobne głupstwo popełnić. W końcu wzywa patronkę Jasnej góry na pomoc, i przyrzeka poprawę. Na pytania sędziego odpowiada szczerze i naiwnie, że nie może sobie zarzuconej mu zbrodni wytłumaczyć, a jeźli już coś zrobił, to zrobił pewnie bez świadomości siebie samego. Szczera i rzewna spowiedź niepomaga jednak jednodniówce do usprawiedliwienia się, bo systematyczny sędzia nie rozumiejąc efemerycznej jego istoty, sądzi go jako człowieka zasady, a niewinne żyjątko odzyskuje wolność—z podciętem skrzydełkiem. (C. d. n.)

Ziemia Bełzka.

Czy widziałeś kiedy czytelniku wśród rozkosznego maju szmaragdowy kląb, rozkwitły pełnemi i wonnemi bukiety, oświetlony różowym blaskiem wschodzącego słońca i promieniejący mieniącemi się pysznemi barwami tęczy, czy widziałeś kląb taki czytelniku?...

Wśród podobnej to, nie tyle obszernej ile bogatej w przyrodę kępy, rozsiało się kilka miasteczek, siół i wiosek, ze swojem poważnemi cerkwiami, klasztorami i pałacykami, dworami i dworkami, ogrodami, pszenicznemi łanami i kurhanami; a środek tej kępy niby wężykowatą ścieżką przecina spławny, wolno nurty swe toczący, stary Bug. To Bełzka ziemia!...

Zaiste piękna to ziemia! piękna a poczciwa wszystkiem. Bo sama niby płodna a troskliwa macierz, liczne swe potomstwo, nie dość że dostatnio karmi i choduje, ale nadto przestrzega i baczy, aby ten pokarm nie w sam pożytek ciała dzieciom się jeno obracał. Toć też synowie jej chowają się po bożemu, żyją dostatnio i zgodnie, a rosną więcej w ducha niż w ciało. I stwórca się przeto raduje i błogosławi widocznie, na tej szczęśliwej ziemi zrosłej rodzinie, która według zakonu pracuje wprawdzie skrzętnie, ale brudnem sobkostwem się brzydzi, bo go niepojmuje.

Do granic Hrubieszowskiego w ziemi lubelskiej z jednej, do Wołynia z drugiej, a do piasków krystynopolskich i Mosteńskich z trzeciej strony, przytknął pas bujnej, rodzajnej ziemi, której nazwę nadał w środku leżący starożytny gród, stolica niegdyś książąt udzielnych a później województwa, sędziwy Bełz. Niestety! z onej wielkości i świetności dawnego czasu, dziś nic tu niepozostało, krom mnóstwa błota w szczupłym, do koła zapadłemi, żydowskiemi domkami otoczonym rynku, nic prócz kościoła obrządku łacińskiego i obrządku greckiego, oraz kapliczki postawionej śród bagien stawów i błot, na tem właśnie miejscu, gdzie niegdy wznosił się tylekroć napróżno dobywany przez Tatarów obronny zamek. Całą jednak dzisiejszą ozdobą Bełza jest synagoga izraelicka, w stylu renaissance zbudowana i obok niej mieszkający, sławny z świątobliwości na cały polski Judeizm rabin, do którego prawowierni Izraelici z odległych nawet stron, tak jak Mahometanie do Mekki lub Medyny pielgrzymują, i rzec śmiało można, że dzisiejszy Bełz jest jedynie stolicą rabina.

Gdy się od Bełza spuścisz, roztoczy się przed tobą cudna, urodzajna dolina, wśród której rozsiadła się obszerna, z pięknemi zabudowaniami dworskiemi z pośród smukłych topoli, niby z poza grenadyerskiego szeregu wyzierająca włość, to *Hużel*. A na przyległem zaraz wzgórzu, ni to strażnica owej doliny, wznosi się porządny, staropolski dworzec. Po za nim błyszczy świeżą nowością ozdobna cerkiew, po niżej zaś zwierciedli się obszerny staw. Grunt tu jałowszy i trudniejszy do uprawy, ale go starannie pielęgnuje pracowita ręka i żelazna, wytrwała wola sędziwego weterana z pod *Moskwy*, *Berezyny* i *Lipska*, dziedzica *Piwoszczyzny*. Nieco ku wschodowi majętność *ostatniego z domu Siekierzyńskich*, *Żabcze murowane*, gdzie wśród rozległych ogrodów i stawów wznosi się gmach obszerny

starożytny, kamienny, niegdy zbór Aryanów. Ostatnia dziedziczka szanowny ten zabytek, tak jak i całe gospodarstwo, dzierżąc sama przez lat kilka, zniszczyła całkiem, a to do tego stopnia, że w ozdobnych komnatach pałacu trzodę chowała. Dzisiejszy dzierzawca wiele wydać był zmuszonym na samo dopiero wykadzenie po zepsutych szynkach, ozorach i połciach, które skrzętna gospodyni po szafach i komodach przechowywać miała arcychwalebny zwyczaj. Dalej już za porządkiem, po lewym brzegu Buga idą włości: *Leszków* z pięknym dworem i ogrodem, a dalej żyzne folwarki klucza Moszkowskiego, gdzie z ozdobnego i obszernego pałacu, w pośród rozległego ogrodu położonego, wnosić każden nie bez przyczyny może o chętnej i uprzejmej gościnności właścicieli tutejszych, patryarchów licznej rodziny. *Opulsk* do tejże majętności należący, zalotnie umizga się okolicy całej, nowo zbudowanym w guście włoskim pałacykiem. Wybornością i staranną uprawą gruntów, od wzorowej czystości bielącemi się zabudowaniami, uroczem położeniem, i tą jakąś tajemniczą wonią estetycznego smaku świecą i panują nadbużańskim brzegom *Konotopy*. Obok, z poza drzew gęstwiny, wychyla w blachę okutą głowę na wzór starożytny, tegoczesna jednak wieżyca, co się tuli do nowo postawionego gotyckiego zamku. To *Cielęż*. Dalej z żyznym ale ciężkim gruntem, gościnny *Uluwek*. A dalej jeszcze pośród leśnych romantycznych ale mokrych nizin, niby bełzkie Polesie, kryją się tajemniczo skromne *Horodłowice*. Wreszcie obszernemi, z wzorowym porządkiem utrzymanemi budynkami przytknęły tu do granicy Wołynia *Tuturkowice*, gdy tymczasem o pół mili tylko odległy *Uhrynów* jest już włością graniczącą z lubelskiem; tak tu klin rozdzielający Polskę kongresową od zabranych Gubernij jest wąski, schodzący się niemal. Ku stronie jeszcze Lubelskiego ciągną się rozległe i urodzajne *Chorobrowa i Chatowic* niwy, dwóch przytykających gruntami do siebie włości, którym, jak niegdy *Kook* zbłąkany na Oceaniach *wyspom towarzyskim*, tak w burzliwej życia mego wędrówce, ja ku wiecznej i wdzięcznej pamięci *przyjacielskich przystani* nazwę nadaję.

Chorobrów, niegdy było starostwo. W kilku już geografiach i opisach Galicyi czytać mi się zdarzyło, że Chorobrow posiada bardzo piękny dwór. W prawdzie w rozległym tu ogrodzie są ślady jakiegoś obronnego grodu, co świadczy długi wał fortyfikacyjny, opatrzony głęboką fosą i wyraźnem odznaczeniem dawnego, zwodzonego mostu. Ale dzisiejszy dwór, jest to sobie sędziwa, szanownym wiekiem pochylona domina, który dopiero w roku przyszłym właściciele tutejsi okazałym zastąpią dworcem A przecież domek ten jaki do dziś istnieje, był do niedawna jeszcze rezydencyą ostatniego starosty tutejszego, p. *Tadeusz Błastko*, którego dotąd starzy ludzie tu pamiętają, bo zostawił on po sobie pamięć nierządu, posunionego do tego stopnia, że w ostatku w tak obszernej majętności nie mającemu co jeść, za pańszczyznę, koleją włościanie na starościński stół obiady dostarczali! Wreszcie c. k. rząd przeznaczył mu stałą, dożywotnią pensyą, a Chorobrowskie starostwo sprzedano. W W końcu *Mianowice*, *Łubów* a tuż i *Waręż*, miasteczko z pięknym kościołem obrządku łacińskiego, niegdy klasztorem i zakładem naukowym, długo utrzymywanym przez ks. Pijarów. Szkoły Pijarów waręzkich niemały czas tem były dla Czerwonej Rusi, czem Podoleniec w Spiskiej ziemi dla Małej Polski, dziś zachodnich obwodów Galicyi. (C. d. n.)

Rozmaitość.

*Na korzyść funduszu emerytury dla tutejszych członków orkiestry teatralnej odegrane będą w sobotę pod kierunkiem dyrektora orkiestry, panna Zimmermanna, w sali redutowej, dla proby, tańce, utworzone na następujący karnawał. Dwanaście kawałków wykonanych będzie, mianowicie: jeden polones przez p. Zimmermana skomponowany; cztery mazury: Gnatkowskiego, Langa, Tyca i Tymolskiego; dwa kadryle: Madurowicza i Zimmermana; trzy walce: dwa Straussa a jeden Zimmermana; dwie polki: Madurowicza i Zimmermana. Początek o godzinie czwartej. Wstęp od osoby 10 kr. m. k.

* **Znad ujścia Wisłoki** 21. Grudnia. Święty Marcin przyjechał w prawdzie do nas na białym koniu, niedługo jednak koń ten tak się wylenił, że na nim ani jednego białego włosku nieujrzysz. Mimo tego jednak, choć ponowy nie ma, po starym zwyczaju zaczęto u nas polowanie w kniei. Skutkiem zapewne postępow cywilizacyi lub wycięcia lasow zagęściły się u nas dzikie świnie. W mojej okolicy w ktorej dawniej o nich niesłyszano, w tych czasach ubito już cztery. Ja wprawdzie niebyłem na polowaniach, gdzie te świnie były, ale polowałem na lisy i zające. Zdaje się że i świat zwierzęcy na dyplomacją zachorował, bo lubo są i zające, więcej jednak lisow upolowano. —

Niełatwo to jednak szlachcicowi dzisiaj zapolować, bo przy dzisiejszem powszechnem szanowaniu sąsiednich stosunków, psow gończych niepodobna trzymać. Lada sąsiad bowiem, jeśli już nie własną ręką, to za pomocą swych ludzi gotow najlepszą psiarnię wystrzelać. Polujemy zatem z obławą; nasi jednak sąsiedzi, mimo sowitej zapłaty, kwitów na zbieranie i t. p. brzydzą się i tym zarobkiem. — Niedawno na polowaniu ktos podał myśl aby zamiast tak zwanych huczków, puścić parę doboszy z bębnami do kniei. O bębny fraszka, bo te gdzie niegdzie znajdziesz w spuściznie po gwardyi, a resztą bębnów łatwo narobić; pytanie tylko, czy przed temi bębnami zwierzyna zechce uciekać. — Z powyższego polowania domyślec się łatwo, jak trudno jest o robotnika, bo kiedy na obławę na której nic nie robi, nie idzie, jakże ma pojść do cepow i pługa? Zasiewy prawie wszędzie albo niedokończone lub je też pożno skonczono, bo choć kto miał dostaczne inwentarze, to albo młockow niebyło, albo poganiaczy i chłopow do pługa, rocznych zaś tyle ile potrzeba trzymać niepodobna. Bo jeśli dawniej mowiono "Maciek zrobił, Maciek zjadł! — to teraz jeszcze jest gorzej bo "Maciek zjadł a nie zrobił! — Gdyby było jakieś prawo, obowiązujące służących, może by lepiej było. Marzą niektórzy o przymusowej robocie, podobne kroki dzisiaj użyte być nie mogą. Owi marzyciele zapominają że dzisiejszy czas jest czasem postępu, i kiedy Przezydent francuski mający 600,000 wojska udał się do wolnego głosowania, chcąc zostać cesarzem, kiedy potężna Monarchia na której rozkaz wszyscy poddani ostatnie mienie by nieśli w ofierze, nie *w przymusowej* ale *w dobrowolnej* pożyczce szukała poprawy swoich finansow, jakże można domagać się przymusu do obrobienia gruntow, odłogiem leżących?

Zresztą przedmiot ten obrabiają już cudzoziemskie dzienniki. Wysoka Władza rządowa także nad tem czuwa. Bodajby tylko nie zna-

lazło się więcej takich, co chcąc osobiste widoki przeprowadzić, fałszywie organom rządowym rzecz przedstawiają. Słyszałem bowiem że kiedy jego Ekscelencja hrabia Mercandin odwiedzał nasz Obwód, jeden z obywateli z *Powiśla*, chcąc nakłonić do kończenia wałów nadwiślańskich, utrzymywał, że nad Wisłą jest tyle robotnika że go do domu odsyłają. — Do wielu plag gospodarskich policzyć można zarazę na bydło (Księgosusz) która w tej okolicy grasuje. Ostrożność wszędzie jest zachowaną, mówią że już ustała, ale jednak wczora nastraszyłem się niepomału, gdy wjeżdżając do pobliskiego miasteczka, zastąpiło mi drogę kilku uzbrojonych w dzidy i piki siepaczy. Bogu dzięki, puścili mnie cało, widać że tym razem szlachty do bydła nie liczą.

Parę tygodni temu w mojem Dominium popełniono morderstwo. Ofiara i mordercy byli sobie kumami, przyjacielami i sąsiadami, pili razem i bawili się w karczmie, a potem dwóch trzeciego zabiło i zostawiwszy w polu, nikomu nic nie mówiąc do domu powróciło. Dla morderców to nie pierwsze pole, bo są to bohaterowie z wyprawy dawniejszej, którzy Strera, examinowanego leśniczego wtedy zabili. Czy im tym razym tak ujdzie jak wtedy o tem wątpić należy. —

Dnie mamy wiośniane, orzemy jeszcze czasem, ale dlatego taka mnogość jest myszy, że prawie pół zboża w stodołach wyjadły. Szczęście że niema w okolicy jakiego Popiela, bo by go pewnie spotkał los poprzednika z Kruszowicy. Oprócz myszy mamy jeszcze muchy na które nawet nie pomagają Muchomory z „Czasu“, a nie lada to Muchomory, kiedy od nich nie tylko muchy ale i biedni czytelnicy zasypiają!

Kończę powyższą Korespondencję; bo cóż bym wam mógł więcej donieść! W domu nic się nowego nie zdarzy, wyjechać zaś trudno bo drogi są nie do przybycia. I tak jadąc kiedyś widziałem że mój krakowiak zwraca w kierunku drogi niezwykłej. Na zapytanie czemu nie jedzie za drogą? odpowiedział“: A dyć diabli by tam chyba przejechali! Tać tam robiona droga!

Pokazuje się zatem że u nas na to drogi robiono, aby tylko diabli niemi jeździli. Żałowałem tylko że ze mną nie jechał jaki z owych korespondentów „Czasu“ co to *w swoim czasie* „w Czasie“ ale *nie na czasie* te drogi i ich założycieli z taką przesadą chwalili.

* Ach co też wyrabiają! Znowu od dwunastu lat znaną i kilkanaście razy graną na tutejszym teatrze sztukę: *Testament ubogiej kobiety* ogłoszono jako nowe dzieło sceniczne, odezwał się czytający afisz wczorajszy. — Cóż to, czy nie rozumiesz po polsku, odparł drugi, wszak na afiszu stoi: *Nowe dzieło sceniczne z teatrów warszawskich!* Widać więc, że dla Warszawy jest nowe.

* **Dla czego w Rossyi wszystko czarno widzą?** Bo cenzura rossyjska wszystkie obce dzienniki coraz większemi płatami czernidłem zamalowuje. Czytelnikom więc tak się zaćmiło w oczach że wszystko widzą w czarnych kolorach.

* Dzisiaj odbył się pogrzeb zmarłej w młodym wieku dnia 1. stycznia pani Seweryny z hrabiów Fredrów, Ludwikowej Skrzyńskiej. W pięknem ciele mieszkała piękna dusza, i wszyscy co ją znali, poważali wysoce ją jako światłą i dobrą żonę, matkę i obywatelkę. Cześć jej popiołom!

Przyjechali od dnia 1. do .2 Stycznia do Lwowa.

PP. Gniewosz Józef, z Przemyśla. Nowosielski Ludwik ze Zbory. Rozwadowski Anam. z Czortkowa. Zawadzki Nikodem, z Krzywego. Rozwadowski Erazm, z Hładek. Frank Ferdynand, z Nahaczowa. Ujejski Bronisław, z Melna. Trzciński Henryk, ze Żyrawy. Thorznicki Juliusz, z Cucułowiec. Czajkowski Hipolit, z Dydiatycz. Kieszkowski Józef, z Hrusiatycza. Tretter Konstanty, z Łonia.

PP. Poten Fryderyk, z Łahodowa. Pietruski Teofil, ze Stryja. Czermiński Juliusz, z Glińska. Gnoiński Aleksander, z Krasnego. Sokołowski Konstanty, z Śniatyna.

Wyjechali dnia 1. do 2. Stycznia ze Lwowa:

P. Thullie Jan, do Mokrzan małych.

PP. Pietruski Konstanty, do Stryja. Mir Józef hr. do Derewacza

Kurs telegrafowany z Wiednia 2 b. m. o g. 2. po połud.

Augsburg za 100 złr. .	127	Pożyczka 5% $82\frac{5}{8}$ $4\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{4}$	Akcye banku	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 16	Kolej północna	1900
Medyolan za 300 lirów	$125\frac{1}{4}$	Obl. ind.	$73\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków .	$148\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	$98\frac{1}{8}$
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	86

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 52	złr. 5	kr. 54
Dukat cesarski	„ 5	„ 57	„ 5	„ 59
Półimperyał zł. rosyjski	„ 10	„ 8	„ 10	„ 11
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 58	„ 1	„ 59
Talar pruski	„ 1	„ 53	„ 1	„ 55
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„ 25	„ 1	„ 26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	„ 89	„ 40	„ 90	„ 5

Obligacye. indemnizacyjne 74 — do 74 złr. 15 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**